

Dzień wolności podatkowej

26 kwietnia 2024

Ponieważ poruszony przeze mnie temat diety i aborcji wzbudził zainteresowanie, pozwolę sobie go nieco rozszerzyć.

Zacznę trochę nietypowo – od [definicji dnia wolności podatkowej](#): „Dzień Wolności Podatkowej to graniczna data, po której przekroczeniu podatnik przestaje pracować dla rządu, a zaczyna na sobie”.

Ta definicja określa nam dzień roku, w którym przestajemy nasze wynagrodzenie w całości oddawać państwu w formie różnych danin, a zaczynamy pracować w całości na sobie. Oczywiście daniny te rozłożone są na cały rok, ale gdybyśmy skumulowali nasze zarobki, odliczyli daniny dla państwa i ilość dni naszej pracy potrzebnych do uzyskania tej sumy, wyszłaby nam data, od której „kasa jest dla nas”. Kiedy taki dzień wypada? Różnie w różnych latach i różnych krajach. W Polsce [ten radosny dzień wyliczany jest](#) przez Centrum Adama Smitha, stosowną tabelę znajdziemy na stronie internetowej.

Z tabeli wynika, że w ostatnich latach Polak oddawał całe swoje zarobki państwu w 2018 r. do 6 czerwca, co stanowiło 43% (157 dni) jego rocznych zarobków. Zostawało mu dla zaspokojenia potrzeb 57%. W innych latach różnie bywało, najwięcej dochodów swoich obywateli zgarnęło państwo w 2011 r., bo aż do dnia 7 lipca łącznie co stanowiło 51,5% zarobków i 192 dni roku.

Z danych na cytowanej stronie wynika, że średnio najwcześniej dzień wolności podatkowej jest w Australii (112) i Estonii (114), a najpóźniej we Francji (197) i Niemczech (190).

Powtórzmy jeszcze raz: do dnia wolności podatkowej wszystkie pieniądze zarobione przez obywatela płyną do kasy państwa. Z tych pieniędzy opłaca się funkcjonowanie państwa, także różne 500+, 800+, babciowe, dziadkowe, pensje rozdętej administracji

i inne niezbędne wydatki.

W Polsce pracuje nieco ponad 15 mln ludzi. Z tego mężczyźni ~53%, kobiety ~47%. Pomijając ewentualne nierówności płacowe, można założyć, że taki też jest procentowy udział w daninach wnoszonych przez obywateli do kasy państwa. Bez mała połowa dla mężczyzn, połowa dla kobiet.

W rozlicznych poglądach na funkcjonowanie państw i społeczeństw istnieje też taki, że kobieta, jeśli wychowuje dzieci w domu, powinna być wynagradzana jak każdy inny pracownik – w stosunku do wykonanej pracy. Czyli dostawać pensję. A wychowywanie dzieci z jednej strony daje satysfakcję, z drugiej – to praca nielekka.

Jeśli ktoś zatrudnia pomoc domową, na stałe lub dochodzącą okazyjnie, wie, ile to kosztuje. Matka wychowująca dzieci, sprzątająca mieszkanie, zabezpieczająca zakupy i funkcjonowanie domu robi to „za frajer”, bardzo często jeszcze pracując zawodowo. Taki właśnie system odpowiada państwu, bo nie dość, że ta matka zapewnia dalsze istnienie państwa, to jeszcze wnosi do kasy państwowej wszystko, co zarobi aż do dnia wolności podatkowej. Prawie połowę budżetu państwa – od kobiet. Z tej kasy można kobietom dopłacać do przedszkola dla ich dzieci i dawać różne dotacje, co oczywiście pozwala na spostrzeganie państwa jako dobrodzieja. Można opłacać różne organizacje zaglądające ludziom do psiej budy, czy tam nie ma pcheł, albo do dzieciennego łóżeczka, czy dziecko umyło nogi na noc. Stawiać tęczę na placu Zbawiciela albo dofinansowywać różne parady i fundacje.

Tyle że taka organizacja państwa prowadzi do jego wolniejszej lub szybszej samozagłady. Umęczone kobiety, poddawane antynatalistycznej propagandzie, w znacznej części jej ulegają i rodzą coraz mniej dzieci. Młodzi mężczyźni straszeni „molestowaniem” coraz mniej ochoty mają na ożenek. W dodatku siedząc godzinami przed komputerem, przegrzewają sobie plemniki, które stają się coraz bardziej leniwe i coraz mniej

skuteczne.

Autorstwo: Barnaba d'Aix

Źródło: WolneMedia.net